

Maria Dahvana Headley

Dziedziczka jeziora

Przełożyła Dorota Dziewońska

*Dla anonimowej autorki, za wszystkie
opowiedziane historie*

Z boleścią śpiewam tę pieśń o sobie, o ja nieszczęsna
o mej tułaczce, o tego świata strasznych udrękach
o mych zgryzotach niegdysiejszych i świeżych ranach
nie znam nic więcej, oprócz mroków mego zesłania

Mężczyzna wygnał mnie w dzikie knieje
W cieniu dębu stary kurhan dał schronienie
Całam tęsknotą i pragnieniem

Lament żony (ok. 960–99 r. n.e.), autor nieznan

Prolog

Powiedz to. Początek i koniec jednocześnie. Leżę na brzuchu, bliska śmierci na pace pickupa. Chciałabym się modlić, ale nigdy nie umiałam prosić o pomoc. Może więc śpiew? Nie ma żadnych pieśni na taką okazję. Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to cytaty z jakiejś książki: „Wszystko będzie dobre. Wszystko wyjdzie na dobre”¹.

Na głowie mam worek, a mimo to widzę twarze martwych żołnierzy. Oglądam wojnę w zwolnionym tempie i oto mam przed oczami szereg towarzyszy, linię krwi, wytrzeszczone oczy... Porzucono nas. Wysłano nas do niewłaściwego kraju i wszyscy oprócz mnie nie żyją. Teraz myślę, że każdy kraj byłby niewłaściwy i że jestem tutaj, o dwie minuty od śmierci.

Moi chłopcy są już duchami, dziewczyny też. Moja przyjaciółka Renee zginęła tydzień temu. Poślizgnęła się i w zamieszaniu, które wywołała gwałtownymi ruchami, dosięgły ją kule, szybkie jak osy. Trzymałam ją w ramionach, kiedy umierała. Trzy dni temu jechałam z Lynnem Gravenem z portu i dowiedziałam się od niego, że rzeka Missisipi tworzy sobie własne koryta, jak jej się podoba, zmienia bieg, pochłaniając te połacie lądu, które pragnie odzyskać. Lynn twierdził, że na tej pustyni także jest taka rzeka – powinniśmy

1 Cytat z książki *Objawienia Bożej miłości* Julianny z Norwich.

się w niej zanurzyć i zobaczyć, czy nas pochłonie. Wskoczył z ciężarówki, którą jechaliśmy z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, przekonany, że wpadnie do wody. Raul Honrez wychowywał się w Idaho, jego rodzice żyli ze zbierania owoców. Był w połowie studiów medycznych, kiedy samoloty wleciały w wieże, i wtedy wstąpił do wojska. Patrzyłam, jak jego ciało jest rozrywane na strzępy, a chwilę później ktoś mnie złapał i wrzucił na tę ciężarówkę.

Dwa miesiące temu byłam na urlopie, z dala od tego wszystkiego.

– *Słuchaj!* – dobiegł mnie głos z dołu i poczułam dłoń na kostce. Siedziała na chodniku. Miała na sobie tablicę z napisem „Tak. Porzucono mnie. Przyjmę każdą pomoc”. Przybyła z tej samej wojny co ja. Przed nią leżała blaszana puszka na drobne.

– Słuchaj. Powiem ci, co cię czeka – zawołała. – Za pięć dolicz.

– Weź wszystko – odparłam, wysypując zawartość portfela do jej puszek.

– W takim razie powiem ci wszystko, co wiem – oświadczyła.

– Nie, dzięki. – Odwróciłam się.

– Będziesz żyła wiecznie! – krzyknęła za mną. – Jesteś tą, która uchodzi cało! Ale i tak coś stracisz, więc lepiej uważaj.

– Nie mam nic do stracenia – odpowiedziałam hardo, nie wiedząc czemu.

Ruszasz na wojnę, wiedząc, że coś stracisz. Ujście z życiem to zwykły fart, a nie coś wyjątkowego. Nie masz w sobie żadnej magii, po prostu sprzyja ci szczęście.

Uznałam, że wiem, co mnie czeka. Bywałam już w walkach. Zaciągnęłam się zaraz po tym, jak zabrakło ochotników, w trakcie wojny, która ciągnęła się bez końca. Wierzyłam, że chodzi o coś wielkiego, o bohaterstwo. Tak ci to przedstawiają, kiedy masz siedemnaście lat. Myślisz, że będziesz ratować

głodujących, cierpiących z powodu wojen, dzieci, kobiety. Tymczasem grzęzniesz w błocie, ślizgasz się po zboczach, zamykasz oczy i strzelasz. Jesteśmy wygłodzeni na skąpych racjach żywnościowych, przerażeni, bliscy obłądu. Strzelamy na oślep, bez namysłu, widząc obcy mundur, inny kolor skóry albo punkty w noktowizorach pokazujące ciepłe ciała. Jasne punkty na mapie, bijące serca.

Uznałam, że do tej pory miałam farta. Uznałam, że jeśli zginę, to zginę.

Wsiadłam do samolotu i wróciłam na pustynię.

Teraz trzęsę się na wybojach i nie mam przed sobą żadnego celu. Skoro mnie wiozą, to jadę do niewoli albo do szpitala. W mózgu kołaczą mi się najróżniejsze myśli, wspomnienia tych chwil, na które powinnam była zwracać uwagę.

– *Słuchaj!* – zagadała do mnie stara kobieta dziesięć lat temu w autobusie dalekobieżnym. – Opowiem ci historię!

Nie bardzo mogłam się odsunąć, więc słuchałam. Za oknami przesuwały się krajobrazy. Noc i droga, zielone i czerwone światła, ludzie w samochodach zmierzający ku swoim celom, a obok mnie ta kobieta opowiada mi swoją wersję dziejów świata, wszystko, co się działo od zarania czasu, i co będzie się działo aż do końca. Trzydzieści godzin.

– Z historią jest tak – powiedziała. – Ludzie kłamią o tym, co przegapili. Mówią, że wiedzą, co się działo, świat eksplodował i oni to widzieli, ale w rzeczywistości tylko słyszeli dźwięk tak głośny, że aż wstrząsnął ziemią. Nie da się zrozumieć całej historii, jeśli nie przeżyje się jej do końca. Kto jest ostatni na placu boju, ten śpiewa pieśni na wszystkich pogrzebach. Przynajmniej ma szansę o tym opowiedzieć. Opowiada nam wszystkim o tamtych zdarzeniach.

Patrzyłam na tę siedzącą obok mnie kobietę, na jej drżące dłonie i skromny kapelus. Wyglądała na tak starą, że mogła się

urodzić na początku wieku.

Myślałam, że wiem wszystko.

Myślałam, że wiem, co kryje w sobie ziemia. Myślałam, że wiem, co mnie czeka. Teraz wiem, że czekało mnie to wszystko: ta pustynia, ten worek, to potrząsanie, gdy ściągają mnie z paki samochodu.

Słyszę odgłos ostrzenia noża.

Nie wiem, kim oni są, kto mnie złapał, ale jestem dla nich jedną z „tamtych”, tak jak oni dla mnie. Jesteśmy koszmarami dla siebie nawzajem. Rzucają mnie na piach na kolana. Pokazują mi tekst i czytam go, a oni to nagrywają.

– Nazywam się Dana Mills – mówię. – Ameryko, to twoje dziecko.

Czuję świst ostrza za głową i nagle jestem w tysiącu miejsc jednocześnie, *wszystko będzie dobre*, i w tysiącu krajów, i na statku przemierzającym ocean, *i wszystko będzie dobre*, jestem starą kobietą umierającą w głębi góry, ostatnią z rodziny, ostatnią z mojego rodu, *i wszystko wyjdzie na dobre*, i wokół jest ciemność, a w tej ciemności świeci jasna gwiazda, która robi się większa, coraz większa...

– *Słuchaj – ktoś szepcze mi do ucha. – Słuchaj uważnie.*

Czy jestem martwa?

– *Słuchaj – szepcze ten głos. – W niektórych krajach zabija się potwora zaraz po narodzinach. W innych miejscach zabija się go dopiero wtedy, kiedy on kogoś zabije. W jeszcze innych puszcza się go wolno do lasu albo do morza, gdzie dożywa swych dni, wzywając pobratymców. Słuchaj mnie, woła. Może jest tylko jeden.*

Budzę się, łapię powietrze, zagrzebana w piachu. Ziarenka pias-ku oblepiają mi palce. Wokół twarzy jest trochę przestrzeni,

ale nigdzie więcej. Czuję jednak bicie serca, a to o czymś
ś w i a d c z y .

Piach jest ciężki i rozgrzany. Przez powieki przedziera się blask słońca. Poruszam palcami, potem całym ciałem, aż udaje mi się wydobyć z piasku dłoń. Wyrzebuje się, wstaję na chwiejnych nogach. Czuję nieznamy ciężar i spoglądam na swój brzuch.

Jestem namiotem pośrodku pustyni, który skrywa kogoś w swym wnętrzu, kogoś, kto nie mówi i nie maszeruje, tylko śpi. Omal nie wybucham śmiechem. Omal nie wybucham płaczem. Nie wiem, kto jest ojcem.

Jestem matką.

W taki sposób wracam z zaświatów. W szóstym miesiącu ciąży. Tyle mam. Tyle mojego.

Patrzę w dal ponad pustynią i dostrzegam jakiś ruch, drganie gorącego powietrza, chybotliwe ludzkie sylwetki. Ruszam przed siebie.

Po kilku godzinach coś wybucha dwa metry ode mnie. Odłamek w moim oku, krew na policzku, tyle. Owijam głowę koszulą i idę dalej.

Wreszcie docieram do Amerykanów. Wyglądam tak strasznie, że nikt nie wie, po której stronie konfliktu jestem. Boją się do mnie zbliżyć. Czytają moje naszywki.

Cholera, to Dana Mills. Sprowadźcie tu kogoś!

Budzę się później, lampa świeci mi w oczy, jestem ogolona na całym ciele: nie mam włosów na głowie, włosów łonowych, na nogach, pod pachami, jakby za chwilę mieli mnie upiec na rożnie. W oknach są kraty. Na oku mam przepaskę, jestem czymś odurzona.

– Pech! – mówi dziewczyna na łóżku obok. Nie ma nóg. – Teraz już chyba za późno. Dla nas wszystkich.

– Chyba tak.

– Wyrwałam się stamtąd, skąd pochodzę, i już nigdy nie wrócę – stwierdza. – Nie mam nikogo na całym świecie.

– Ja też – wtrącam. – Moja matka nie żyje. Jestem sama. Obie patrzemy na mój brzuch.

– Nie jesteś sama – zauważa dziewczyna. – Masz tego kogoś. Ktokolwiek to jest.

Patrzę na jej piegi i zadarty nos, krzywe usta pomalowane czarną szminką, jakby się wybierała do klubu, żeby szaleć do upadłego. Może mieć z siedemnaście lat, tyle co ja, gdy się zaciągnęłam. Jej paznokcie są dłuższe, niż zezwala regulamin, i gładko wypolerowane. Nie pytam, co zrobiła. Ona też mnie o to nie pyta.

– A więc jesteś wariatką? – rzuca bez zapowiedzi. – Bo ja tak. Widzę różne rzeczy. Głównie swoje nogi. Zresztą, po co jeszcze żyję? Pewnie tak myślisz. Ja tak myślę.

Już mam zamiar odpowiedzieć, kiedy widzę, że coś lśni pośrodku jej klatki piersiowej. Jakiś błysk. Płomień?

– Co tam jest? – pytam, ale jej już nie ma.

Na jej miejscu jest pięciu mężczyzn. Czują się swobodnie, opierają stopy o ramę łóżka, jeden czy dwóch pochyla się nade mną i ogląda moje wykresy. Dają mi do zrozumienia, że jestem w tej sali jedyną osobą, która nie może uciec. Bose stopy, kiedy było się już na wojnie, są przerażające.

– Co się z tobą działo, żołnierzu? Kto cię porwał?

– Nie wiem – mówię. Rozglądam się za dziewczyną, ale nigdzie jej nie ma.

Jeden z nich kuca przede mną i patrzy na mnie z taką dawką szczerości w oczach, żebym nie miała wątpliwości, że jest dobrym człowiekiem.

– Widzieliśmy cię w telewizji – mówi. – Miałaś szczęście. Nawet po tym wszystkim nadawałaś się do pokazania na

ekranie. Reszta twojego oddziału zginęła.

Myślę o szczęściu.

– Widzieliśmy twoją śmierć. To było przekonujące.

– Ja żyję – mówię. Czuję dreszcz na całym ciele.

– Egzekucja sfingowana. – Wskazuje na mój brzuch. – Czyje to dziecko?

– Moje – odpowiadam szybciej, niżbym chciała.

– Gwałt czy obopólna zgoda?

Jedno znaczy, że jestem ofiarą, a drugie, że jestem kolaborantką, a ja nie znam odpowiedzi, więc milczę. Słyszę, jak jeden z nich mówi coś o teście DNA. Mój mózg zacina się jak zdarta płyta. Hipnotyzują mnie, namawiają, żebym wszystko opowiedziała. Nie ma nic do opowiadania, poza tym że wróciłam z miejsca, w którym byłam, że żyję i że jestem w ciąży.

Pozostaję w tym szpitalu, który nie jest szpitalem, przez sześć tygodni, a potem czuję, jak dziecko pod moim sercem mocno kopie.

W więzieniu pracują inni żołnierze. Spotykam faceta, który stacjonował tam, gdzie ja. Wyprowadza mnie w środku nocy. Znajduję klucz w jedzeniu, mapę pod talerzem, i uciekam. Kiedy nie mogę znaleźć pociągu, ukrywam się w przyczepach przewożących konie. Chowam się pod plandeką pickupa. Budzę się na parkingu, gdzie ktoś się we mnie wpatruje, uderzam go w głowę i uciekam w ciemność.

Znowu spotykam dziewczynę ze szpitala, tym razem w łazience na parkingu dla ciężarówek. Nie używając nóg, wychodzi z kabiny i mówi „Cześć”, a ja jej odpowiadam „Cześć”, jakbym się nie martwiła o stan mojego umysłu. Jej palce to sama skóra i kości. Pali papierosa.

Pośrodku klatki piersiowej ma otwartą ranę, przez którą widzę jej żebra, płuca, zapaloną świeczkę na jej splecie

słonecznym, otoczoną złoceniami.

– Bóg już do ciebie dotarł? Prosił o coś? – pyta.

– Nie wiem – mówię. – Coś mi się przytrafiło. Nie wiem co. Nie wiem też, co teraz się ze mną dzieje.

– Mnie też się coś przytrafiło. Zaczęłam pluć ogniem, a potem zamarzłam i roztopiłam się, i wszyscy wokół twierdzili, że jestem męczennicą. Malowali mnie wszyscy malarze. Widywałeś mnie na ścianach i na świeczkach. Weź sobie jedną, jeśli chcesz. – Wskazuje wotum w swojej piersi. – Może ci p o m ó c .

Dziewczyna zaciąga się papierosem i jej policzki zapadają się tak głęboko, że widzę kształt jej czaszki.

– Ciągle boli – mówi. – Nie chcesz iść tą drogą, nawet jeśli prowadzi do sławy. Twoja twarz pojawia się na grzankach i zawsze masz wrażenie, że nie możesz odetchnąć pełną piersią. Ale to i tak lepsze niż druga możliwość.

– Jaka jest druga możliwość? – pytam.

– Oj, wiesz przecież. Wieczny ogień.

Wychodzi z łazienki, bez nóg, pozostawiając za sobą ślady stóp w postaci ogników, które zaraz gasną. Stoję tam jeszcze przez chwilę z dłonią owiniętą w papier.

Dziecko mnie kopie, samochody wjeżdżają na parking i wyjeżdżają, ciężarówki wydają ten rozpaczliwy jęk świadczący o zbyt wielkim ciężarze i o zużytych hamulcach. Widzę, jak grupa tych wielkich aut zjeżdża z autostrady i jak sunie z trudem pod górę, bo dla olbrzyma jedyną przeszkodę stanowi grawitacja.

Idę dalej. Czemu właściwie idę do domu? Nagle dociera do mnie, że dowiedzą się, skąd pochodzę, i będą tam na mnie czekać. Ale nie czekają. Nikogo tu nie ma.

Chyba dlatego, że moje miejsce rodzinne zniknęło.

Czuję skurcze na tyle silne, że zaczynam się bać. W miejscu,

gdzie kiedyś mieszkałam, pozostało jedynie jaskrawe białe światło, ogrodzenie wokół nowych budynków i góra.

Każde życie zaczyna się tak samo i tak samo się kończy. Reszta to opowieść, nawet jeżeli jej nie rozumiesz, nawet jeżeli nie jesteś pewna, co jest prawdą, a co podejmowaną przez umysł próbą wydobycia sensu z mgły. Dorastałam w domu z widokiem na tę górę. Opuściłam to miejsce na zawsze, ale owo „na zawsze” już minęło. Teraz wracam do domu.

Wspinam się, potykam na stromym zboczu, przedzieram się między drzewami w kierunku jaskini.

Słuchaj, mówię w myślach. *Słuchaj*.

Część 1

Góra

*Budynek majaczył w dali zwieńczony złotymi wieżami
niczym rogami; aż się prosił o spalenie, ale to się nie
stało.*

*Wiesz, jak to jest: Każdy zamek czeka na atak,
A każda rodzina ma wrogów w niej zrodzonych. Stare
urazy wzbierają.*

Słuchaj

1

Słuchaj. Długo po terminie spodziewanego końca wszystkiego, długo po dniach zapowiadanych apokalips obliczanych przez różne kultury i wyznaczanych w komputerowych kalendarzach, długo po tym, jak świat przestał wierzyć w cuda, wewnątrz pewnej góry przyszło na świat dziecko.

Ziemia jest terenem rozkradanym. Wszystko, co żyje, potrzebuje miejsca.

Jest wycie, potem gwizd, a następnie ryk. Wiatr zawodzi w koronach drzew, słońce roztopia lód na szczytach gór. Nawet gwiazda śpiewa. Kamienie toczą się w dół, śnieg kłębi się w zamieci, lód jęczy.

Nikt nie musi nas widzieć, byśmy istnieli. Nikt nie musi nas kochać, byśmy istnieli. Słońce pełne jest światła.

Świat pełen jest cudów.

Jesteśmy dzikością, ukrytą rzeką i kamiennymi jaskiniami. Jesteśmy węzami, ptakami, ulewą, jasnością pod najciemniejszymi wodami. Jesteśmy starym bytem stworzonym z wszystkiego i czekamy tutaj od dawien dawna.

Powstaaliśmy z kontynentalnego morza i teraz, częściowo pod górą, częściowo poza nią, istnieje ostatnia część tego morza, jezioro. W naszej glebie są skamieniałe drzewa, pozostałości lasu z czasów, gdy świat był zielony. Kiedyś tworzyły zielony dach, teraz wyciągają kamienne palce pod

ziemią. Głęboko pod górą jest jaskinia pełna starych kości. Niegdyś leżał tu olbrzymi szkielet, klatka piersiowa wyginała ściany, ogon wił się po ziemi.

Później jaskinię poszerzono i powiększono, położono płytki i szyny, dodano oświetlenie, by mieściła się tu stacja kolejowa. Kości zostały wydobyte i zabrane do muzeum, a tam ułożono z nich całość i zawieszono pod sufitem.

Na początku stacja była wzorcowa. Pociąg kursował do miasta i z powrotem, miał przedziały barowe, skórzane siedzenia. Teraz ściany jaskini się kruszą, kafelki są popękane, ale stacja wciąż istnieje: kasa biletowa, drewniane ławki, stojaki na gazety, lada do sprzedawania kawy, kubki, witrażowe okienka, za którymi pełzają dżdżownice, kryształowe żyrandole otulone pajęczynami. Są też ujęcia wody pitnej ze źródła zasilającego górę i fontanna życzeń pokryta kurzem.

Od prawie stu lat przez nasze terytorium nie przejechał żaden pociąg. Tunel z obu stron jest zamknięty metalowymi drzwiami i zasypany ziemią, ale komora stoi jak stała, chociaż tory są zalane wodą. W rzece powstałej między szynami pływają ryby, a po ceramicznych mozaikach i tablicach informacyjnych skaczą różne stworzenia.

Czekamy i oto pewnego dnia nasze czekanie dobiega końca.

Panel w suficie się przesuwa i z otworu wyłania się kobieta, która powoli się opuszcza i w końcu, ciężko dysząc, zeskakuje na podłogę.

Jest bardzo chuda, tylko brzuch jej wystaje. Wlecze się niezdarne, opiera się o naszą ścianę i podnosi wzrok na nasz sufit, oddychając ciężko.

Przez stary świetlik, portal na świat zewnętrzny, wpada mglista smuga światła. Świat wewnątrz to tylko ta kobieta, ubrana w poplamiony mundur, podkoszulek na ramiączkach,

przewiązane sznurkiem bojówki i wojskowe buty, z przepaską na jednym oku, z włosami związanymi z tyłu głowy. Na jej twarzy widnieje nierówna blizna. Na plecach ma dwa karabiny i plecak z prowiantem.

Osuwa się po ścianie na płytki podłogi. Krzyczy, wzywa jakiegoś boga, wszystkich bogów.

Wzywa nas.

Przez ceramiczne płytki na suficie przebijają się korzenie drzew. Wędrowny ptak wlatuje z zewnątrz, przelatuje pod łukiem i siada w ukrytym gnieździe, w którym połyskują obręcze kolczyków z mosiądzu, papierki po cukierkach, kawałki wstążek.

Kobieta krzyczy, jej głos niesie się przez całą stację, ale żaden pociąg nie nadjeżdża, pomoc nie nadchodzi. Nie ma tu nikogo oprócz nas i tej kobiety, samotnej pod ziemią. Zaciska zęby i prze.

Obserwujemy. Czekamy.

Poród trwa dzień i noc. Słońce przesuwa się po firmamencie i przez świetlik wpada blask księżycy.

Dziecko wczepia się palcami w żebra kobiety, wbija stopy w jej miednicę i napiera plecami na coś, co nie chce ustąpić, aż w końcu ustępuje.

Kobieta wydaje kolejny krzyk i wtedy jej syn się rodzi, wilgotny, mały, zakrwawiony. Wciąga pierwszy haust powietrza. Krztusi się, rozczapierza palce.

W oczach matki płonie ogień, jej dłonie świecą, jakby gdzieś w oddali eksplodowała bomba, nie na zewnątrz, lecz w środku.

Kobieta oddycha. Zaciska pięści i wydobywa z plecaka nóż. Odcina pępowinę i opatruje kikut kawałkiem bawełny oderwanym z koszuli. Patrzy na swoje dziecko, unosząc je do wąskiej smugi światła.

Dziecko otwiera oczy, złote oczy, a zaraz potem usta. Widać

w nich zęby. Matka patrzy na chłopca, na jej twarzy maluje się niepokój. Trzyma go ostrożnie w drżących rękach.

Cuda już się rodziły. Czasami były czczone. Zawsze były to nowe, nieznanne dotąd stworzenia. Niektóre z nich spadały z jękiem na ziemię, inne nauczyły się latać.

Nie przeszkadza im samotność na Ziemi. To przyjdzie później.

Kobieta dotyka twarzy dziecka. Obmywa je w naszej wodzie, zawija w koszulę i przywiązuje mocno do siebie.

– Gren – szepcze.

W naszej historii, w historii tej góry, tej ziemi, która wyłoniła się z ciemności na dnie morza, to jest tylko krótka chwila, po której znowu zapadnie ciemność.

– Słuchaj – kobieta szepcze do dziecka.

Wszystkie inne stworzenia, które się tutaj narodziły, wyłaniają się w milczeniu z wody jeziora, żeby słuchać wraz z nim – uzbrojone w zęby, pazury, każdy z lśniącem grzebieniem na grzbiecie.

Mieszkańcy góry przez chwilę przyglądają się noworodkowi i słuchają jego matki, a potem wracają w głąbiny.

Narodził się.